

miesiąca pierzchnął sploszony serdecznością i troską najbliższych.

Przyjechałem tu w przystępie rozpaczy. Szpital skierował mnie do sanatorium w Bierutowicach. Pomyślałem, że jeśli mam umrzeć gdzieś w sanatorium, to już lepiej u mamy. Moja aktualnie rodzinna miejscowość przeszła właśnie metamorfozę. Nie tylko w zakresie nazwy. Z cichej, głuchej i sennej stała się gwarną, pełną życia. W ciągu wiosny tego roku ofensywa osadników dotarła i tu, w głębie olbrzymich maszywów leśnych, i wstępnym bojem Santocko przeszło w ręce poznańskich i zabużańskich chłopów. Niemcy jeszcze są, ale ich prawie nie widać. Wieś stała się polska. Schludne niemieckie domy zamieniły się w brudne wołyńskie i poleskie chaty, pełne kur, prosiąt i innego dobra obsiadającego malowane podłogi i resztki dywanów. Swójśko mimo wszystko.

Ludziska, nie wyłączając mojej rodziny i tych pierwszych osadników wojskowych, stale mówią o wojnie, wiszącej jakoby na włosku. To temat wszystkich rozmów. Tłumaczę jak umiem, że to jest bzdura. Moi rozmówcy z grzeczności potakują, ale co myślą? Ich szacunek dla moich gwiazdek uzewnętrznia się w propozycjach poczęstunku, których ze względów zasadniczych przyjąć nie mogę. Santocko ma już trzy knajpy, jest więc gdzie realizować nęcące propozycje, ale nic z tych rzeczy. Chcę być zdrow.

Pięknie jest na wsi. Marzę o tym, że gdy będę stary, osiadę tu w tym małym domku należącym do naszego gospodarstwa. Będę chodził po niezmiernych łąkach, po lasach, z dubeltówką i wspomnieniami. A jest ich sporo. Buszowałem po tych stronach wczesną wiosną ubiegłego roku. Tak to niedawno, a jakże już dawno. Pojechałem z Tadzikiem na miejsce, gdzie po zakończeniu wojny rozłożyliśmy nasz obóz. Z trudem odnalazłem polanę wśród lasów, nad małym uroczym jeziorkiem. Po naszych wspaniałych ziemiankach niewiele pozostało śladów. Aleje i ścieżki zarosły bujną trawą i chwastami. Tam gdzie były nasze polowe kwatery, pleni się zielsko i gdzieś tam młode, nieśmiałe jeszcze pędy leśnych drzew i krzewów. Jeszcze parę lat i będzie tu szumiął młody zagajnik. Ta moja polana to symbol życia, które rządzi się swoimi własnymi prawami.

## 1947 Luty

Przegałem sprawę Krycha. To taki jeden sukinyś z 6. kompanii. Od dawna miałem sygnały o zamierzonej przez niego dezercji. Sądziłem, że szczeniak przechwała się i zbagatelizował informację. Zawinił też tu nawal roboty planowej i dodatkowej. W rezultacie tego Krych zwiął, a ja wziąłem sobie za punkt honoru złapać go. Pojechałem z Romkiem do rodzinnej wsi dezertera. Godzina po północy, ciemno, głucho. W jakimś

Przedborzu odszukaliśmy posterunek MO. Zamknięty na wszystkie spusty nie zdradza śladów życia. Co robić w nieznannej okolicy o tej porze? Zaczynamy dobijać się do drzwi i okien twierdzy ładu i bezpieczeństwa. Początkowo nic nie zapowiadało, że wewnątrz może się ktoś znajdować. Kiedy nadal nie dawaliśmy za wygraną, przez okno chlusnęła seria z automatu. Szczęściem byliśmy na martwym polu, inaczej zostałyby z nas strzępy. Zaczęliśmy pertraktować ukryci tak, aby nie dosięgnęły nas następne serie. Po dłuższym czasie, po odbytych naradach, wpuszczono nas do środka. Weszliśmy z rękami w górę, oświetleni kieszonkowymi latarkami i obstawieni gotową do strzału bronią. W niesamowicie dusznym pomieszczeniu było 5 czy 6 chłopów uzbrojonych po zęby, ale też i po czubki włosów zalanych. Cudem chyba uniknęliśmy śmierci. Ale nam chodziło o pomoc w złapaniu dezertera. Nasi bohaterowie słuchać o tym nie chcieli. Byli zdetonowani. Owszem przepaszali za incydent, tłumacząc go czujnością i ilością grasujących w okolicy band, ale wyjść na teren – w żadnym przypadku. Podobno takie mają instrukcje. Nie rozumiem. Przecież tam wystarczyłoby wrzucić 2 cytrynki przez okno, a z dziwnych obrońców ładu i bezpieczeństwa zostałyby siekane kołety. Z mętnych wskazówek i wyjaśnień jako tako zorientowaliśmy się w topografii okolicy i zlokalizowaliśmy chałupę Krycha. Rozbudzeni mieszkańcy nie byli zdziwieni naszą wizytą, ale była ona oczywiście bezowocna. Z obowiązku przeszukaliśmy całe obejście. Ojciec dezertera pomstował na syna, na rząd i porządki. Zabraliśmy go ze sobą obiecując wypuścić, gdy syn się zgłosi. Bez oporu ubrał się, pożegnał z rodziną i poszedł z nami. W pewnej chwili zapytał, co to za strzały słychać było od strony posterunku. Odpowiedzieliśmy mu, że nic nie słyszeliśmy, ponieważ tylko co przyjechaliśmy i udaliśmy się prosto do niego. Uśmiechnął się jakoś krzywo i dwuznacznie i rzekł:

– Bo to, panie, u nas nocami różne ludzisko się włóczy i może być przykro, nie wiadomo z której strony.

Stary Krych zakwaterował się u żołnierzy ochrony. Sprzątał izbę, nosił posiłki chłopakom, opowiadał im przeżycia z czasu wojny, palił ich papierosy i strasznie się nudził. Wyskoczyłem jeszcze raz z kilkoma żołnierzami, łudząc się, że drań może – pod nieobecność ojca – będzie pomagał w chałupie i złapiemy go. Ale gdzie tam. Tym razem ominąłem posterunek MO. Wracaliśmy z niczym o pierwszym brzasku. Chłopcy zauważyli, że od strony posterunku, ruszyły za nami jakieś cienie. Rozkazałem żołnierzom rozproszyć się i iść kryjąc się za drzewami. Miałem złe przeczucia. Po drodze do przystanku kolejowego jest niewielki zagajnik. Kiedy opuściliśmy go, posuwając się tyralierą dalej, z tyłu rozległy się strzały. Zapadliśmy gdzie kto był i otworzyliśmy ogień, ostrzelując zagajnik. Po pierwszych krótkich se-

riach atakujący nas cofnęli się w głąb lasu i rzucili do ucieczki. Moi chłopcy poderwali się z zamiarem pogoni, ale powstrzymałem ich. Nas było czterech, a tamtych czort wie ilu. Może w ten sposób usiłowali wciągnąć nas w zasadzkę? Stary Krych pojechał do domu, bo nie było podstawy trzymać go w charakterze zakładnika. Jechał niechętnie. Powiada, że nigdy w życiu tak wspaniale nie wypoczął i nie pojadł, jak u nas. Obiecał, że syna przeprowadzi nam na postrońku. Przekonał się – powiada – że w wojsku jest bardzo dobrze, że ono jest rzeczywiście polskie i żeby tak o niego szło, toby służył w nim przez całe życie. Synalek naopowiadał mu takich okropności o swojej służbie, że był pewien, że to jest piekło, z którego się nie wraca. Zresztą syn – to bandzior – zakończył, ale ja teraz dopiero widzę, jakie jest to nasze nowe wojsko naprawdę. Na odchodnym popłakał się stary. Wierzę, że to było szczere z jego strony i mój niepraworządny czyn przyczynił się do otwarcia oczu nieufnemu chłopu z nadpilickiej wsi. Zobaczmy, czy stary dotrzyma słowa.

Jeszcze raz pojechałem z Romkiem szukać Krycha. Oczywiście bez rezultatu. Stary przyjął nas jak najbliższych. Wyciągnął pół litra i różne wiejskie smakołyki. Wykręcaliśmy się od przyjęcia poczęstunku, ale na próżno.

– Wyście traktowali mnie jak człowieka – to i ja nie gorszy. Jesteście porządne chłopcy i ja wam rad jak braciom – prawil.

– A co z pańskim synem?

– Panowie, ja jestem ojcem. Kiedy będzie ta ojcam, wtedy zrozumie mnie. Stacho jest nicpotem i źle skończy, ale ja nie mogę mu być na zdradzie, bo to mój syn.

## Kwiecień

Zaangażowałem się w naukę z myślą o tym, że na następny rok będę zdawał na polibudę i rozpoczną studia. W ukończeniu ich widzę swoją przyszłość, bo czas chyba najwyższy o niej pomyśleć. Mam 25 lat, obowiązek wobec ojczyzny spłaciłem z nawiązką i mam prawo pomyśleć o sobie, o jakiejś stabilizacji życia. Wojsko dobra rzecz. W mundurze mi do twarzy, dziewczuchy lecą na gwiazdki i medale, warszawski ludek, i nie tylko warszawski, darzy szacunkiem człowieka w mundurze. Rosną, awansują, przybywa krzyży i medali, ale wszystko to wydaje mi się jakies przejściowe, nie gwarantujące przyszłości. To temat wielokrotnych rozmów z Romkiem i Gienkiem. Zresztą oni chyba się wkrótce poženią. Jeden i drugi zdaje się wpadli bezpowrotnie. Oni uważają, że ja też wpadłem, ale nie ma głupich.

KONIEC

